

Wersja robocza tłumaczenia, które ukazało się w „Gazecie Wyborczej” nr 157, wydanie z dnia 07/07/2007, str. 13, proszę cytować wersję ostateczną.

Steven Pinker

Żegnaj, przemoc

(tłum. Tomasz Żuradzki)

Od wieków przemoc jest coraz mniej. Prawdopodobnie żyjemy dziś w najspokojniejszej epoce w dziejach człowieka na ziemi

Popularną w szesnastowiecznym Paryżu rozrywką było palenie kota, zabawa, w czasie której zawieszano nieszczęsne zwierzę na sznurku ponad sceną, a następnie powoli opuszczano w płomień. Według historyka Normana Daviesa „widzowie, nie wyłączając królów i królowych, piszczeli z uciechy, gdy oszalały z bólu kot zajmował się ogniem, piekł i przemieniał w zwęglony kawał mięsa”. Obecnie taki sadyzm spotkałby się z gwałtownym sprzeciwem we wszystkich niemal zakątkach świata. Ta przemiana wrażliwości stanowi tylko jeden z przejawów być może najważniejszej, lecz zarazem najmniej zauważanej tendencji w historii naszego gatunku: przemoc od wieków słabnie i prawdopodobnie żyjemy dziś w najspokojniejszej epoce w dziejach człowieka na ziemi.

W dobie Iraku i Darfuru, niedługo po tym, jak dobiegło końca stulecie Stalina, Hitlera i Mao, podobna teza może się wydać absurdalna, a nawet nieprzyzwoita. Jednakże najnowsze badania mające na celu liczbowe oszacowanie zmian na skali przemocy w dziejach skłaniają do takich właśnie wniosków.

Część dowodów na ich prawdziwość mieliśmy zresztą pod nosem przez cały czas. Z tradycyjnych dociekań historycznych od dawna wynika, że pod wieloma względami stajemy się coraz lepsi i łagodniejsi. Okrucieństwo dla zabawy, ofiary z ludzi składane na ołtarzu

przesądów, kara śmierci za stosunkowo drobne wykroczenia lub zwykłe różnice zdań, dochodzenie prawa sukcesji w drodze zabójstwa, podbój rozumiany jako święta misja rządów, uciekanie się do ludobójstwa w celu zdobycia dóbr materialnych, niewolnictwo w roli prawnie dozwolonego mechanizmu wyręczania się bliźnim, tortury i okaleczanie ciała w ramach rutynowych zabiegów wymiaru sprawiedliwości, gwałty uważane za rodzaj wojennego łupu, pogromy w charakterze naturalnego ujścia dla społecznych frustracji, morderstwo zamiast innych metod rozwiązywania konfliktów – wszystko to przez długie stulecia stanowiło nieodzowny składnik ludzkiej egzystencji. Dziś na Zachodzie zdarza się sporadycznie, żeby nie powiedzieć – wcale, w innych miejscach na ziemi – rzadziej niż kiedyś, a jeśli już się zdarzy – jest wstydliwie ukrywane i, w razie wyjścia na jaw, powszechnie potępiane.

Z jednej strony mało kto chciałby te fakty negować. To właśnie one stały się źródłem pojęć takich jak postęp, cywilizacja czy tryumf nad dzikością i barbarzyństwem. Niemniej ostatnio podobne określenia zaczynają brzmieć wątpliwie, a nawet ryzykownie. Zdają się bowiem demonizować ludzi z innych niż nasze miejsc i epok, usprawiedliwiać kolonialne podboje i inne przygody w tym stylu, a także sprzyjać zatajaniu zbrodni popełnianych przez nasze własne społeczeństwa. Idea szlachetnego dzikusa – zgodnie z którą istoty ludzkie, z natury pokojowo nastawione, zostały zepsute przez nowoczesne instytucje – często pobrzmiewa w pismach uznanych intelektualistów w rodzaju José Ortegi y Gassetta („Wojna to nie instynkt, lecz wynalazek”), Stephena Jaya Goulda („*Homo sapiens* nie jest gatunkiem o złych lub destrukcyjnych skłonnościach”) czy Ashleya Montagu („Biologia stwarza podstawy dla etyki uniwersalnego braterstwa”). Teraz wszakże, gdy socjologowie przystąpili do liczenia ofiar w poszczególnych okresach historycznych, ten romantyczny pogląd okazuje się z gruntu fałszywy: nowoczesność nie tylko nie obudziła w nas złych instynktów, ale wręcz przeciwnie, wprowadzone przez nią instytucje zdołały nas uszlachetnić.

Oczywiście każda próba udokumentowania zmian w skali przemocy na przestrzeni dziejów musi budzić poważne wątpliwości. Znaczną część wydarzeń z odległych epok można porównać do rosnącego w puszczy drzewa, którego upadek przechodzi całkiem niezauważony, a nawet jeśli zapisuje się w annałach, to na ogół – aż do niedawna – odarty z wszelkich danych przydatnych przy tworzeniu statystyk. Długotrwałe tendencje da się więc odczytać jedynie poprzez interpretację przyływów i odpływów wylewającej cyklicznie rzeki krwi. W dodatku decyzja, by skupiać się raczej na liczbach względnych niż absolutnych, owocuje moralną zagwozdką w postaci pytania, czy gorsza jest zagłada pięćdziesięciu procent społeczności liczącej sto osób, czy jednego procenta populacji złożonej z miliarda.

Niemniej, mimo tych zastrzeżeń, powoli rysuje się jakiś obraz. Spadek poziomu przemocy jest zjawiskiem niezwykle złożonym, dostrzegalnym w skali tysiącleci, wieków, dekad i lat. Zarysowuje się ono na kilku planach o różnej doniosłości, od ludobójstwa poprzez wojny, zamieszki i morderstwa aż do zachowań względem dzieci i zwierząt. Zdaje się obejmować cały świat, choć daleko mu do jednorodności. Najsilniej zaznacza się w społeczeństwach zachodnich, szczególnie w Anglii i Holandii, a punkt zwrotny osiągnęło wraz z nadejściem ery rozumu w początkach siedemnastego stulecia.

Ogólnie rzecz biorąc, widać gigantyczną różnicę między nami a naszymi przodkami z epoki przedpaństwowej. Wbrew lewicowo nastawionym antropologom, wysławiającym cnoty szlachetnego dzikusa, dane liczbowe – takie jak odsetek prehistorycznych szkieletów ze śladami cięć topora lub uwięzłymi wśród kości grotami strzał, czy też mężczyzn ginących z cudzej ręki we współczesnych plemionach koczowniczych – wskazują na to, że społeczeństwa przedpaństwowe były znacznie bardziej brutalne od naszego. Prawdą jest, że ofiary ówczesnych bitew i napadów to zaledwie promil tych, które tracą życie w nowoczesnych wojnach. Jednakże w okresie plemiennym starcia zdarzały się częściej, angażowały dużo większy procent populacji, a odsetek poległych w każdej bitwie był

znacznie wyższy. Według antropologów takich jak Lawrence Keeley, Stephen LeBlanc, Philip Walker i Bruce Knauft czynniki te sprawiają, że stopa śmiertelności w wojnach plemiennych nieporównanie przewyższała tę, z którą mamy do czynienia w epoce nowożytnej. Gdyby w dwudziestowiecznych wojnach poległo proporcjonalnie tyle samo ludzi co w typowych konfliktach plemiennych, ofiar byłoby nie sto milionów, lecz dwa miliardy.

Do zniekształcenia obrazu przemocy we wczesnych cywilizacjach – konkretnie w tych, które przedstawia Biblia – przyczyniła się również polityczna poprawność rodem z drugiego krańca ideologicznego spektrum. Stary Testament, domniemane źródło wartości moralnych, zawiera niejeden pean na cześć ludobójstwa dokonywanego przez Izraelitów, którzy – za zachętą Boga – wyrzynali w pień zajmowane miasta. Przewiduje również śmierć przez ukamienowanie jako karę za cały szereg wykroczeń, w tym bałwochwalstwo, bluźnierstwo, sodomie, wiarołomstwo, brak poszanowania dla rodziców, a także zbieranie drew w szabat. Izraelici nie odznacжали się, oczywiście, bardziej morderczymi instynktami niż inne plemiona – entuzjastyczne wzmianki o torturach i morderstwach łatwo też odnaleźć u dawnych Hindusów, Chińczyków, chrześcijan i muzułmanów.

Gdy przychodzi do porównywania liczby poległych w wojnach w skali stuleci, między średniowieczem a czasami nowożytnymi, trudno o precyzyjne studia. Zdaniem niektórych historyków wraz z upływem czasu zwiększa się liczba odnotowywanych w dokumentach konfliktów, ale, jak zauważył politolog James Payne, nie świadczy to o niczym ponad to, że „Associated Press jest bardziej wiarygodnym od szesnastowiecznych mnichów źródłem informacji o wojnach w rozmaitych częściach świata”. Historia społeczeństw zachodnich dostarcza licznych dowodów na barbarzyńskie praktyki, które zdecydowanie straciły na popularności w ciągu ostatnich pięciu stuleci, wcześniej zaś nie wzbudzały szczególnych kontrowersji, takie jak niewolnictwo, odcinanie członków, oślepienie, piętnowanie, obdzieranie ze skóry, ćwiartowanie, palenie na stosie, łamanie kołem i tak dalej.

Jeśli natomiast idzie o inny przejaw przemocy – morderstwa – materiał dowodowy jest obfity i uderzający. Kryminolog Manuel Eisner zgromadził mnóstwo szacunkowych danych dotyczących zabójstw w rozmaitych miejscach w Europie Zachodniej między rokiem 1200 a połową lat 90. XX wieku. W każdym objętym jego badaniami kraju odsetek morderstw gwałtownie spada, od – przykładowo – 24 na 100 tysięcy obywateli w czternastowiecznej Anglii do 0,6 na 100 tysięcy we wczesnych latach 60. XX wieku.

Również w skali dekad z obszernej dokumentacji wyłania się szokująco pozytywny obraz: od połowy XX wieku poziom przemocy na świecie systematycznie maleje. Zgodnie z *Human Security Brief 2006* liczba poległych w konfliktach międzypaństwowych spadła od ponad 65 tysięcy rocznie w latach 50. do niecałych 2 tysięcy w obecnym dziesięcioleciu. W Europie Zachodniej i obu Amerykach druga połowa stulecia przyniosła gwałtowne zmniejszenie liczby wojen, zamachów stanu i krwawych zamieszek na tle etnicznym.

Dokonując jeszcze większego przybliżenia, dostrzegamy kolejną tendencję spadkową. Po zakończeniu zimnej wojny nie tylko maleje na całym świecie liczba konfliktów międzypaństwowych, ale w dodatku te, do których mimo wszystko dochodzi, częściej kończą się ugodą niż krwawym starciem. Jednocześnie, według politolożki Barbary Harff, między 1989 a 2005 rokiem liczba kampanii mających na celu masową eksterminację ludności cywilnej zmniejszyła się o 90%.

Zarysowana tu tendencja pod wieloma względami stanowi poważne wyzwanie dla naszych zdolności sensotwórczych. Przede wszystkim rodzi się pytanie, jak to możliwe, że tak wielu ludzi myli się w równie istotnej kwestii. Częściowo dzieje się tak z powodu rozpowszechnionej iluzji poznawczej: mamy skłonność, by prawdopodobieństwo jakiegoś zdarzenia oceniać na podstawie łatwości, z jaką przychodzi nam przywołanie podobnych przykładów. Obrazy jatek częściej goszczą na ekranach naszych telewizorów i skuteczniej

zapadają nam w pamięć niż sceny z życia staruszków. Częściowo winę za stan rzeczy ponoszą również intelektualisci, z zasady niechętni tezie, że zachodnia cywilizacja mogłaby pociągać za sobą jakiegokolwiek dobre skutki. Częściowo wreszcie jest to kwestia pragmatycznego podejścia do rynku idei: nikt jeszcze nie zdobył zwolenników ani darowizn, utrzymując, że sprawy mają się ku lepszemu. Wytłumaczenie leży też poniekąd w samej istocie zjawiska. Spadek poziomu przemocy zachodzi równolegle, a może nawet z pewnym opóźnieniem w stosunku do zanikania postaw gloryfikujących ją lub choćby tolerujących. Wstrzykiwanie trucizny mordercom w Teksasie lub wypadki w Abu Ghraib, choć godne pożałowania, nijak się mają do standardów okrucieństwa obowiązujących w historii rodzaju ludzkiego. A jednak, zamiast widzieć w nich świadectwo wyostrzenia się naszej wrażliwości, postrzegamy je jako szczególnie jaskrawy przykład naszego moralnego upadku.

Kolejne nasuwające się w tym miejscu pytanie brzmi: skoro poziom przemocy rzeczywiście spada, czym to tłumaczyć? Siła, która bez względu na epokę, kontynent i typ organizacji społecznej pcha ludzkość w tym kierunku, opiera się próbom tradycyjnych wyjaśnień przyczynowo-skutkowych. Główni podejrzani – broń, narkotyki, prasa, kultura amerykańska – jak zawsze tylko zaciemniają obraz. W zrozumieniu sytuacji nie pomaga też teoria doboru naturalnego: nawet gdyby przyszłość naszej planety miała należeć do pokojowo nastawionych osobników, ich geny nie byłyby w stanie rozpowszechnić się równie szybko. W każdym razie człowiek nie zmienił się na tyle, by zatracić upodobanie do okrucieństwa. Psychologowie społeczni zapewniają, że przynajmniej 80% ludzi miewa fantazje dotyczące śmierci osób przez siebie nie lubianych. I, jeśli sądzić po zainteresowaniu, jakim cieszą się zagadki kryminalne, tragedie Szekspira, filmy Mela Gibsona, gry wideo oraz hokej, oglądanie przemocy wciąż sprawia nam ogromną przyjemność.

Zmienił się natomiast bez wątpienia poziom gotowości, by swoje krwawe fantazje wprowadzać w czyn. Socjolog Norbert Elias twierdzi, że nowoczesność w wydaniu

europejskim przyspieszyła „proces cywilizacyjny”, charakteryzujący się wzrostem samokontroli, umiejętności długoterminowego planowania oraz wrażliwości na myśli i uczucia innych. Te właśnie funkcje współcześni neurologowie przypisują korze przedczołowej. To wszakże prowadzi tylko do pytania, dlaczego istoty ludzkie w coraz większym stopniu wykorzystują akurat tę część swoich mózgów. Nikt nie zna powodu, dla którego biorą w nas górę dobre instynkty, istnieją jednak w tej sprawie cztery przekonujące hipotezy.

Pierwsza głosi, że Hobbes miał rację. Życie w stanie naturalnym jest trudne, brutalne i krótkie, nie tyle zresztą ze względu na naszą pierwotną żądzę krwi, co na żelazną logikę anarchii. Każda istota, choćby w najmniejszym stopniu dbała o własny interes, może ulec pokusie przywłaszczenia sobie własności sąsiada. Wynikający z tego strach skłania potencjalną ofiarę do prewencyjnego ataku, co z kolei przekonuje drugą stronę, że w obronie własnej należy uderzyć z jeszcze większym wyprzedzeniem, i tak dalej. Niebezpieczeństwo to da się zażegnać poprzez wprowadzenie odpowiednich zasad – nie atakuj pierwszy, zawsze tylko w odwecie – ale, aby zapewnić im wiarygodność, przeciwnicy muszą pomścić wszystkie dotychczasowe zniewagi i uporządkować zaległe sprawy, co kończy się natychmiast błędnym kołem krwawej wendety. Posiadające monopol na przemoc państwo jest w stanie zapobiec podobnym tragediom za pomocą równo rozdzielanych kar, które tłumią agresję w zarodku, uśmierzając tym samym lęk przed prewencyjnym atakiem sąsiada i likwidując potrzebę pozostawania w ciągłej gotowości. Eisner i Elias łączą więc złagodzenie obyczajów w Europie z przejściem od nastawionego na wojnę społeczeństwa rycerskiego do scentralizowanych rządów wczesnej nowoczesności. W strefach ogarniętych anarchią – takich jak regiony przygraniczne, państwa w stanie rozkładu, upadłe imperia, a także terytoria pozostające pod wpływami mafii, gangów i rozmaitych przemytników – przemoc szaleje przecież po dziś dzień.

Payne podsuwa inną możliwość: na pobłażliwy stosunek względem przemocy wpływa w decydującej mierze wszechogarniające poczucie bezwartościowości życia. Jeśli cierpienie i wczesna śmierć są zjawiskiem powszechnym, człowiek czuje mniej skrępałów, zadając je innym. A ponieważ rozwój technologii i ekonomiczny dobrobyt wydłużają nasze życie i podnoszą jego jakość, przywiązujemy większą wagę do życia w ogóle.

Trzecia hipoteza, proponowana przez Roberta Wrighta, przywołuje logikę gier o sumie niezerowej: scenariusz, zgodnie z którym obie strony mogą wygrać pod warunkiem zgodnej współpracy, sprawdzający się w handlu, przy podziale zadań oraz zysków osiągniętych dzięki złożeniu broni. W miarę jak ludzie uświadamiają sobie, że można tanio się dzielić i rozwijać technologie umożliwiające rozpowszechnianie własnych produktów oraz idei na znacznie rozleglejszych niż wcześniej obszarach, i to po niższych kosztach, ich motywacja do współpracy rośnie, a bliźni stają się w ich oczach bardziej wartościowi za życia niż po śmierci.

Istnieje ponadto teoria filozofa Petera Singera, który twierdzi, że ewolucja wyposażała człowieka w tak małą ilość empatii, że starcza mu jej wyłącznie dla wąskiego grona przyjaciół i znajomych. W ciągu tysiącleci grono to rozszerzało się jednak, obejmując coraz rozleglejsze grupy: klan, plemię, naród, obie płcie, inne rasy, a nawet zwierzęta. Mogło to wynikać zarówno z rozbudowywania się sieci wzajemności à la Wright, jak i z nieubłaganej logiki złotej zasady, która głosi, że im więcej wie się i myśli o innych istotach, tym trudniej przedkładać własny interes nad ich dobro. Wzrost empatii wiązał się też być może z rozwojem kosmopolityzmu, a także z wysiłkami dziennikarzy oraz autorów wspomnień i realistycznych powieści, dzięki którym zarówno wewnętrzny świat innych, jak i przygodność naszej własnej egzystencji stawały się coraz bardziej oczywiste, wywołując w uprzywilejowanych uczucie, że „trafiło się ślepej kurze ziarno”.

Jakakolwiek jest jego przyczyna, spadek poziomu przemocy pociąga za sobą doniosłe konsekwencje. Nie powinien bynajmniej stanowić powodu do samozadowolenia: cieszymy się dziś spokojem, ponieważ poprzednie pokolenia, przerażone panującym wokół okrucieństwem, napracowały się, by z nim skończyć; podobnie i my powinniśmy podjąć taki wysiłek z myślą o tych, którzy przyjdą po nas. Niedaleka przyszłość nie nastrocza zresztą zbyt wielu powodów do optymizmu, jako że po raz pierwszy w dziejach jednostki o zdecydowanie przednowoczesnej wrażliwości dysponują tak nowoczesną bronią.

Niemniej omawiane tu zjawisko zmusza do przemyślenia naszego pojęcia przemocy. Nieludzki stosunek do bliźniego przez wieki dawał powód do moralizatorstwa. Wiedząc, że sytuacja się zmieniła, możemy potraktować sprawę nieco bardziej analitycznie. Zamiast zadawać pytanie: „Skąd się bierze wojna?“, możemy zacząć stawiać inne: „Skąd się bierze pokój?“. Skoro rządy mniej są skłonne do ludobójstwa, a ludzie – do dręczenia kotów, coś chyba robimy dobrze. I miło byłoby wiedzieć co.